

Klub eleganckich gangsterów

Okrutna choroba górników

Królestwo włamywaczy i bandytów

wywolana przez drobne pyłki piasku lub kamienia

W Ameryce, od chwili zniesienia prohibicji, gangsteryzm doszedł do takiego rozwoju, jakiego nigdy nie pamiętano. Kryminaliści opanowali prawie wszystkie większe miasta i posiadają swoje biura oraz luksusowe apartamenty w śródmieściu, we wspólnych drapaczach chmur. Poza tym z biegiem czasu nastąpiło także ulepszenie techniki mordowania ludzi.

„SMIERTELNY UŚCIŚK DŁONI”

Jeszcze przed 20, czy 30 laty odbywało się to zupełnie zwyczajnie, podczas, kiedy dziś gangsterzy doszli w tym zakresie do niebywałej perfekcji. Stosują więc cały szereg niezwykle metod. Wśród nich najpopularniejsza jest metoda zabijania w samochodzie, następnie inna, t. zw. „śmierć w uścisku dłoni”, która polega na tym, że podczas kiedy jeden z opryszków ściska ofiarę czule dłoń, witać się z nią owacyjnie, — jego wspólnik strzela do ofiary podstępnie i w ten sposób oczywiście trudno jest wpaść na ślad mordercy.

Jako wynalazca w tym zakresie zasłynął słynny gangster z Brooklynu, niejaki Ludwik Amberg, który zresztą sam niedawno został ukarany śmiercią. Otóż Amberg wymyślił taki sposób, że uśpiłemu narkotykami delikwentowi zakładano na szyję pętlę, której koniec przywiązany był do kolan. W ten sposób ofiara, budząc się, wyprostowywała nogi i mimo woli zaciskała pętlę na szyi, dusząc się śmiertelnie. Amberg, jak zapewniał cynicznie, nie odczuwał w tym wypadku najlżejszych wyrzutów sumienia, gdyż, jego zdaniem, ofiary popełniały coś w rodzaju samobójstwa.

FRONT MEN.

Wielki przemysł kryminalny rozwija się i kwitnie według wszelkich, ustanowionych zgóry, reguł. Przedewszystkiem więc najważniejszą zasadą jest jaknajbardziej ściśle konspirowanie się. Jeśli chodzi np. o zabójstwo, w tym wypadku gangsterzy trzymają się metody, że morderstwa nie dokonują nigdy: 1) człowiek znany przez ofiarę, ani też żaden z głównych filarów bandy. Od tego są t. zw. front — men i ich zadaniem polega na wykonywaniu rozporządzeń zwierzchników.

O ile zdarza się taki wypadek,

że chodzi o zabójstwo człowieka, którego front men nie zna, wówczas ma miejsce następująca procedura. Ktoś ze znajomych przysięga ofiarę wskazuje ją jednemu z front menów, ten następnie wskazuje jeszcze innemu, aż wreszcie informacja dotrze do tego, który ma wykonać wyrok. Ponadto stosują jeszcze i ten system, że morderstwa dokonują w na terenie innego miasta, niż te, w którym mieszkają. Najkorzystniejszą więc dla nich okazją jest, dajmy na to, wyjazd ofiary z jednego miasta do drugiego. Wtedy morderca przybywa z całym szykiem samolotem lub luksusowym pociągami, zatrzymuje się w najdroższym hotelu w mieście, wybiera najlepszy apartament i zamawia najdroższe cotaile. Któż wobec tego podejrzewałby tak wytwornego gentlemanna o mordercze zamiary.

GANGSTERYZM I POLITYKA.

Gangsteryzm kwitnie ponadto podtrzymywany przez niektóre partie polityczne. Te partie więc, które potrzebują mieć t. zw. swoich ludzi, wspierają bandy i zapewniają im niejednokrotnie opiekę i nietykalność. Znaną są również fakty, że banda dokonuje napadu na bank i dzieli się łupem z partią, która odczuwa brak gotówki.

Pozatem są jeszcze i inne sposoby zapewnienia bezpieczeństwa bandom gangsterów. Niektóre z nich rejestrują się więc u władz, jako legalne stowarzyszenia lub kluby, więc choćby np. jako klub golfowy. Oprócz tego bywa i tak, że tworzą pozornie syndykaty robotnicze. Oczywiście że taka historia jest poważnie do chodowa. Przedstawiciel syndykatu zjawia się wtenczas na wiecach, przemawia do robotników, oponuje przeciwko przedłużaniu dnia pracy i żąda podwyższenia płac robotniczych. Ma się rozumieć, że nie pochodzi to z jego sentymentu dla warstwy pracującej. Nic podobnego. Zaniecha natychmiast swoich płomiennych mów, kiedy otrzyma od fabrykantów za trudniących robotników odpowiednie wynagrodzenie.

KONTRYBUCJE.

Do często praktykowanych sposobów należy nakładanie przez gangsterów kontrybucji na restauratorów w jakimś mieście.

Zjawiają się wtenczas u właściciela wytwornego gentlemanni, którzy proponują mu przystąpienie do ich stowarzyszenia. Żeby być zaliczonym jako członek, wystarczy, dajmy na to, jak oświadczać, comiesięczne wpłacanie np. 400 dolarów, wzamian restaurator otrzymuje piękny dyplom na piśmie. I, oczywiście, większość z nich zgadza się na tego rodzaju transakcje, gdyż w przeciwnym razie grożą im najróżniejsze awantury, w rodzaju wybijania szyb, rzucania bomb z gazem łzawiącym i t. p.

To rozchulanie się gangsterów w Ameryce doprowadziło do tego, że władze postanowiły wytoczyć mu ostrą walkę. Znany na terenie Ameryki komisarz policyjny, Thoms E. Dewey, opracował specjalny plan akcji, która ma na celu wyniszczenie band gangsterskich. M. in. projektowane jest utworzenie w miastach specjalnych komitetów, które czuwałyby nad bezpieczeństwem mieszkańców i tępiły kryminalizm.

Solidarność tych organizacyj

„Tong w a r a”

Wojna tongów w chińskich dzielnicach Ameryki

Chińscy emigranci, zamieszkujący większe miasta Ameryki, jak New York, Chicago, lub San Francisco, tworzą rozległe dzielnice, niechętnie odwiedzane nawet przez policję. Większość Chińczyków należy do sporej ilości tajnych organizacji, zwanych tongami. Wzajemnie za pewne świadczenia, tong otacza opieką swych członków.

Solidarność tych organizacyj jest tak olbrzymia, że za krzywdę lub zniewagę wyrządzoną jednemu z członków, mścić się potrafi cały tong. Nic też dziwnego, że ruchliwe dzielnice chińskie stają się terenem częstych utarczek między członkami tajnych organizacji. Wpewnej chwili ulice pustoszeją, kupcy pośpiesznie zamykają swoje sklepy, nieliczne grupy, kryjące się we wnękach bram, szepczą znaczące słowa „Tong w a r a”.

Kilka strzałów, czasem błysnie

noż i nadeżdżające samochodem patrol policyjny znajdują parę trupów, jeżeli ich dotąd przyjaciele nie zdążyli sprzątnąć, a sprawy z reguły pozostają nieznanymi.

Pomimo aresztowań i niezbyt łagodnych metod policji amerykańskiej, nikt nie przyznaje się do winy i nigdy nawet śmiertelnie ranna ofiara nieporozumień między tajnymi organizacjami nie wyda swego przeciwnika.

Nawet dalsze szczegółowe dochodzenia nie dają najmniejszego rezultatu. Żaden Chińczyk białemu człowiekowi, nawet najbardziej przyjaźnie dla niego usposobionemu, nie wyjawia powodu zatargu ani tego, jacy członkowie, jakiego tonga brali w nim udział. To są ich „prywatne sprawy”...

Biada białemu, który nieopatrznie wtargnie na teren utarczek, napewno na drugi dzień policja znajdzie gdzieś na skraju ulicy trupa, bez żadnych papierów, czy innych śladów, mogących określić osobę zabitego.

— A o kogo to wam poszło łobuzy? — spytała ze śmiechem, wciągając czarne pończochy.

— Nie udawaj, że nie wiesz, cholero! — mruknął groźnie, wczuwając się w rolę apasza.

Oboje zaczęli się śmiać. Pani Urszula nie mogąc znaleźć w szafie odpowiedniego stroju, pobiegła pożywać sukien od Maryni. Wróciła, niosąc z triumfem czerwona bluzkę i kraciastą kciekę.

— Ach, to będzie cudowne! — zachwyciła się — ale nie patrz teraz! — prosiła, kryjąc się za parawanem.

Paweł wyglądał, jak sutener. Wdział marynarkę do góry podszewką, wystrzępiona była na łokciach, co w tym wypadku dało dobry efekt. Na piękna fryzurę, zaczesaną „w ząbek”, włożył nie dbale cyklistówkę, a szyję owiazał czarnym szalikiem.

Po chwili zza parawanu wysunęło się dziewczę „importowane z aukcji Marsylji”. Rozwierzona czupryna, brwi grubo uczernione węglem, wzrok dziki, „suknia plugawa”. Podparła się pod boki i kroczyła leniwie, przegajając się w biodrach. W ustach żarzył się krótki ogarek. Kiwnęła na niego, mruczając jedno oko.

— No, co, kochanie, pójdziemy razem? — spytała, naśladowując przepity głos dziewczki.

— Możemy, najpierw, daj się „sztachnąć” — mruknął, wyjmując jej z ust papierosa.

Nie mogąc utrzymać powagi, parsknęli jednocześnie.

— Wiesz, świetnie wyglądasz, zupełna „Mańka”! — zaśmiał się Paweł.

— A i ty mógłbyś zarządnąć kogo w ciemnej ulicy! Czekał, zaraz zrobimy taniec — nakreśliła patefon i nastawiła „Valse Chaloupe” — tańczyłam to kiedyś, jako fortancerka — dodała.

Wiedząc o tem, że „taniec apaszów” polega na okazywaniu damie grubiaństwa, Paweł schwytał panią Urszulę jedną ręką w pól, drugą złapał za włosy i przegiął jej głowę w tył. Zrobił to jednak lekko tak, żeby ją nie bolało; toteż zdziwił się, gdy rzekła tonem rozczarowania:

— Ale ręce masz jak z galarety.

— Dlaczego? — spytał puszczając ją z uścisku.

— A o kogo to wam poszło łobuzy? — spytała ze śmiechem, wciągając czarne pończochy.

— Nie udawaj, że nie wiesz, cholero! — mruknął groźnie, wczuwając się w rolę apasza.

Oboje zaczęli się śmiać. Pani Urszula nie mogąc znaleźć w szafie odpowiedniego stroju, pobiegła pożywać sukien od Maryni. Wróciła, niosąc z triumfem czerwona bluzkę i kraciastą kciekę.

— Ach, to będzie cudowne! — zachwyciła się — ale nie patrz teraz! — prosiła, kryjąc się za parawanem.

Paweł wyglądał, jak sutener. Wdział marynarkę do góry podszewką, wystrzępiona była na łokciach, co w tym wypadku dało dobry efekt. Na piękna fryzurę, zaczesaną „w ząbek”, włożył nie dbale cyklistówkę, a szyję owiazał czarnym szalikiem.

Po chwili zza parawanu wysunęło się dziewczę „importowane z aukcji Marsylji”. Rozwierzona czupryna, brwi grubo uczernione węglem, wzrok dziki, „suknia plugawa”. Podparła się pod boki i kroczyła leniwie, przegajając się w biodrach. W ustach żarzył się krótki ogarek. Kiwnęła na niego, mruczając jedno oko.

— No, co, kochanie, pójdziemy razem? — spytała, naśladowując przepity głos dziewczki.

— Możemy, najpierw, daj się „sztachnąć” — mruknął, wyjmując jej z ust papierosa.

Nie mogąc utrzymać powagi, parsknęli jednocześnie.

— Wiesz, świetnie wyglądasz, zupełna „Mańka”! — zaśmiał się Paweł.

— A i ty mógłbyś zarządnąć kogo w ciemnej ulicy! Czekał, zaraz zrobimy taniec — nakreśliła patefon i nastawiła „Valse Chaloupe” — tańczyłam to kiedyś, jako fortancerka — dodała.

Wiedząc o tem, że „taniec apaszów” polega na okazywaniu damie grubiaństwa, Paweł schwytał panią Urszulę jedną ręką w pól, drugą złapał za włosy i przegiął jej głowę w tył. Zrobił to jednak lekko tak, żeby ją nie bolało; toteż zdziwił się, gdy rzekła tonem rozczarowania:

— Ale ręce masz jak z galarety.

— Dlaczego? — spytał puszczając ją z uścisku.

*) Zaciągnąć się dymem.

C. d. n.

Redaktor odpowiedzialny: Józef Matuszczyk

Druk. Literacka S. z o. o., Warszawa, Nowy Świat 22, tel. 666-64

Wydawca: MAZOWIECKA SPÓŁKA WYDAWNICZA

Zygmunt Jurkowski

Księżycowe

interesy

Powieść

Na odgłos lamentu wytoczyła się z kuchni stara Marynia. Ulokowała w progu swą otyłą postać i wybałuszyła okrągłe oczy, w wyrazie martwe, jak u śniętej ryby. Widząc żalostkę swojej pani, załamywała ręce, to znów ruchem bezzadnym dotykała nalanego podbródka i wydawała ciche, świszające pojęki — Ochś!... ochś!...

Paweł uspokajał panią Urszulę. Zakłopotany pochylił się nad nią i usiłując oderwać jej dłoń do twarzy, powtarzał łagodnie: — No, nie płacz, nie płacz...

Prawdę mówiąc Paweł nie wywiązywał się należycie ze swych obowiązków i pani Urszula miała powody do płaczu, wprawdzie biegła zziębnięta po mieście i śleczła po nocach, ale cóż, kiedy dawało to profit tak lichy, że starczyło go ledwie na wyżywienie. Nie upadł jednak na duchu, przeciwnie, ostatnio nawet widział przed sobą nowe perspektywy, gdy utulał ją w płaczu, czuł się, jak mały chłopczyk, który wyrządził krzywdę mamusi.

Ucieszyła się wreszcie i, podchlipując jeszcze, odwracała od niego głowę. Zobaczyła stojącą w progu Marynię i zwróciła się do niej ze złością:

— Poco Marynia, tu przyszła? Wołałam Marynię?

— Ojej... bo... myślałam, że znowu jakie nieszczęście...

— Nic się nie stało, niech Marynia wraca do kuchni!

Marynia postąpiła jeszcze chwilę i odeszła. Po ostatnich wypadkach z Żalkinem, straciła zaufanie do przyjaciół swojej pani i odnosiła się do Pawła z rezerwą; zresztą nie dawała sobie dokładnie sprawy z jego istnienia. Zwiertzały ze starości jej mózg, nie utrzymywał już wrażeń dokładnie i Marynia często myliła Pawła z jakimś

panem Karolkiem. Wkrótce żal pani Urszuli przeminał i oddalił się niby chmurka, która na chwilę zaciemniła słońce. Była młoda i nosiła w sobie niefrasobliwość, która nad smutkiem zawsze brała górę. Wieczorem oboje bawili się już w najlepsze. Wybrali się w doskonałych humorach do kina na amerykański rewjowy film. Po kinie poszli na kolację do kawiarenki, w której dawniej spotykali się potajemnie. Wróciwszy do domu, Paweł chciał zasiać do pracy, ale pani Urszula zebrała się na figle i postanowiła urządzić domowy spektakl. Zasiadła przed lustrem i zabrała się do charakterystacji, chcąc upodobić się do aktorki, która grała w filmie.

Narysowała brwi skośnie i przedłużyła linię rzęs, a usta pogrubiała jaskrawą pomadką, nadając im wyraz zmysłowy. Ponieważ filmowa artystka była prawie goła, pani Urszula, idąc za jej przykładem, zamknęła drzwi na klucz, rozebrała się i chodziła po pokoju nago. Wydobywała z szuflad kawałki materji, różne błyskotki i pióra, poczem stawiała przed lustrem i, przykładając je do ciała to tu, to tam, sprawdzała efekt. Gdy przystroili się wreszcie, przyszyli jej na myśl efekty świetlne, więc owinęła żarówkę czerwona bibułka i wtedy dopiero przywołała Pawła. Idąc, układał w myśli tekst prospektu reklamowego, od czego właśnie go oderwała. Słyszając, że idzie, nastawiła patefon. Gdy stanął w progu, rozległy się dźwięki fokstrotka i pani Urszula kolorowa i mieniąca się niby rajski ptak, zaimprovizowała solowy taniec. Przegięła się zgrabnie, falowała rękami w powietrzu i przytupywała, spoglądając na Pawła z wesołym wyzwaniem. Ucieszył go ten widok; naiwny popis był nietylko dowodem wprawy tancerznej, ile zdrowia, które wróciło pani Urszuli. Niewiele myśląc, zaczął podskakiwać z nią razem, przyczem siłił się na konstruowanie jakichś bladeńskich figur. Nagle pani Urszula wpadła w myśl:

— Wiesz co, przebij się za apasza, wykonamy taniec apaszów!

— Doskonale!

Zaczęli się przebierać. Paweł usiadł przed lustrem i, przypalając nad zapałką korek, wymalował sobie czarne wąsiki, a szczęki przysmolił zlekką dla zaimitowania niegolonego zarostu, czerwona pomadką do ust przeciągnął przez czoło szramę.

— To cięcie nożem, Rudy Dick dźgnął mnie w Marsylji — wyjaśnił.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.50 zł. opisy specjalne — 3 zł., lekarstwie — 30 gr. Nekrologia po 3 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada. Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.